

JAKICH NEGOCJACJI AMERYKANIE POTRZEBUJĄ

Ellen G. Friedman, Corinne Squire
Morality USA
University of Minnesota Press, 1998, s. 290.

Ameryka lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych – epoki nazwanej w skrócie (za Dickiem Hebdige'em) „post”, a więc: postmodernistycznej, postindustrialnej, postkolonialnej, postpatriarchalnej i wielokulturowej. Pozbawiona wcześniejszych euroamerykańskich pewników moralnych. Przelamująca tradycyjne struktury życia politycznego, społecznego, rodzinnego. Rewolucjonizowana przez ruchy obrony praw obywatelskich, wyzwolenia kobiet i gejów, kampanie na rzecz edukacji wielokulturowej i ochrony środowiska. Rozczarowana i zawiedziona po traumatycznych doświadczeniach politycznych, minionych i ostatnich (wojna w Wietnamie, zabójstwa Kennedych i Martina Luthera Kinga, skandal z Monicą Levinsky), zarazem zaś obsesyjnie tęskniąca do „niewinnych” lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Ameryka wielogłosowa, zatowizowana, historyczna, psychopatyczna, wyobcowana, bojąca się moralnego chaosu, relatywizmu. Ameryka „trudnego pluralizmu” – jak to określają autorki.

Moralność USA ma ów amerykański skomplikowany pluralizm opisać. W nim bowiem znajduje przyczynę dojmującego dziś poczucia niepewności i wrażenia nierozwiązywalności kontrowersyjnych kwestii moralnych: w nim – nie zaś w jakimś generalnym upadku moralnym, czy też w zaniku zdolności myślenia w kategoriach moralnych. Autorki są powściągliwe i przedstawiają rzecz rozsądnie: niepewność to niepewność, a nie oznaka amoralności czy degeneracji moralnego języka. Będący zaś jej źródłem pluralizm trzeba przede wszystkim dokładnie zanalizować – wyodrębnić i zbadać składające się nań moralne dyskursy, zwłaszcza że mowa tu o trudnym pluralizmie, czyli o burzliwej koegzystencji z gruntu nieprzystawalnych do siebie stanowisk, o moralnej wieży Babel, a nie o obojętnej, grzecznej tolerancji innych poglądów.

Książka nie stanowi analizy czysto filozoficznej, historycznej, socjologicznej czy psychologicznej. Łączy i miesza wszystkie te perspektywy, próbując dać kalejdoskopowy obraz dyskursów moralnych Ameryki, opisać najistotniejsze kwestie sporne i toczące się wokół nich negocjacje, ukazać, jak mówi się o zagadnieniach moralnych w różnych sferach kultury: w prasie, szkole, literaturze, sztuce, reklamie, kościele, w telewizyjnych *talk show*. Obok rozdziałów natury ogólniejszej – przedstawiających literackie, filmowe, artystyczne diagnozy moralne Ameryki, są rozdziały dotyczące obszarów najbardziej moralnie nacechowanych i najbardziej dziś wieloznacznych: sprawiedliwości i jej wymiaru, rodziny, ciała ludzkiego, kwestii związanych z tak zwaną polityczną poprawnością.

Autorkom nie chodzi jednak tylko o pokazanie barwnego i niekoniecznie prowadzącego do rozpaczki moralnego „patchworku” Stanów Zjednoczonych. Praca jest w pewnym sensie polemiczna, z ostrożnie pozytywnymi sugestiami na temat tego, jak można uniknąć całkowitego relatywizmu i emotywizmu. Zgodnie z – można powiedzieć – amerykańską tradycją przedstawia negocjacyjny model dochodzenia do moralnego konsensusu, ale jest to model pogłębiony czy zradykalizowany. Przeciwwstawiony temu, co proponuje Richard Rorty – zbyt łatwo przesuwnącej się ponad istotnymi różnicami kontrowersyjnych stanowisk gentlemeńskiej umowie, która w gruncie rzeczy zakłada jakiś stan kulturalnej amnezji. Autorki wątpią też w wartość etyki wspólnotowego dobra proponowanej przez MacIntyre’a – ponieważ jej fundament, czyli społeczność, wspólnota, coraz bardziej wymyka się dziś definicji. Squire i Friedman, śledząc toczące się spory, starają się pokazać wartość negocjacji, w których dochodzi do głębokiego, uwzględniającego moralne tradycje, zróżnicowania stanowisk. „Moralne negocjacje polegają nie na szukaniu jakiejś wspólnoty przekonań, ale na odkrywaniu i rozwijaniu podzielanych przez innych retoryk, przekonywających szablonów mówienia i pisania. Takie wspólne retoryki pozwalają opisać nasze moralne tradycje w naszej własnej mowie czy piśmie i odnieść się do całkiem nam obcych argumentów moralnych”. Autorki nie ubolewają nad rozpadem spójnego języka moralnego (o ile taki w ogóle kiedyś w sferze moralności istniał). Przeciwnie: dowartościowują jego dekonstrukcję, jego różnicowanie się. Nawet jeśli jest ono chaotyczne, brutalne, dezorientujące. Właśnie w tych szokujących zderzeniach moralnych widzą szansę na ograniczenie relatywizmu (bo trzeba w końcu dojść do jakiegoś, tymczasowego wspólnego stanowiska) i do wyjścia z czystego emotywizmu (trzeba się skonfrontować z Innym). Są też przekonane, że podstawowe przedmioty kontrowersji moralnych, takie jak ciało czy rodzina, nie rozpadają się całkiem, przetrzymują próbę czasu, przetrzymują – co ważniejsze – ciągłe próby ich redefinicji. Stanowią właśnie teren burzliwych, lecz nie grozących ich istnieniu, negocjacji.

Nie sposób tu przedstawić wszystkie omawiane w sześciu rozdziałach kwestie. Nie da się opisać za autorkami wszystkich warstw i języków sporów toczących

się wokół definicji sprawiedliwości, ludzkiego ciała, płci, mniejszości narodowych, wokół zataczającego coraz szersze kręgi problemu tak zwanej politycznej poprawności. Jednak, ponieważ książka polega przede wszystkim na opisie realiów i na eskalacji ich różnorodności, trzeba wyciąć i pokazać choćby jej próbkę. Na przykład materiał dotyczący moralnego statusu rodziny – co chyba zainteresuje i polskiego czytelnika.

Każdy z rozdziałów poświęconych poszczególnym kwestiom moralnym zaczyna się od opisu pewnego precedensu – przypadku, który szczególnie mocno uświadamiał rozmycie pojęć moralnych, powodował coraz większą ilość sprzecznych głosów i wydawał się właściwie nierozwiązywalny. Dlatego autorki mówią na przykład o sprawiedliwości „post-Tawana”, czyli po cezurze, jaką był proces Tawany Brawley (1987r.) – czarnoskórej ofiary zbiorowego gwałtu przez białych. Proces, który przerodził się w spór natury rasowej, niczego nie wyjaśnił i, w efekcie, doprowadził do zmiany ról: jeden z oskarżonych stał się oskarżycielem.

Rozdział dotyczący rodziny zaczyna się od problemów spowodowanych nowoczesnymi technologiami reprodukcji. Na pierwszy ogień idzie kwestia tak zwanych kontraktowych rodziców. Autorki przedstawiają sprawę „dziecka M”, która miała miejsce w 1986 roku; zakontraktowana zastępcza matka, po urodzeniu dziecka nie chciała go oddać domagając się przyznania praw macierzyńskich. Sąd rozwiązał sprawę na rzecz ojca, to znaczy dawcy spermy i jego żony, z przyznaniem kontraktowej matce prawa do spotykania się z dzieckiem. Opinii publicznej to rozwiązanie wydało się kontrowersyjne. Przy tym konflikcie ujawnił się szereg wątpliwości, które wymagały przemyślenia na nowo definicji rodzicielstwa, macierzyństwa i ojcostwa. Biologiczne kryterium przestało wystarczać. Pojawiła się na pozór absurdalna możliwość: istnienia wielu matek (dawczyni jajeczka, kobieta rodząca dziecko i kobieta opiekująca się dzieckiem) i wielu ojców. Do tych trudności dochodziły inne, związane z równością płci i klasy. Postawiono zarzuty, że prawne rozwiązanie sprawy „dziecka M” potwierdza tylko tradycyjne przywileje mężczyzny oraz zamożnej klasy średniej, do której ojciec należał. Pojawiła się więc sprawa patriarchalnej struktury amerykańskiej rodziny.

Wszystkie zawilości związane z precedensem „dziecka M” rosną jeszcze w przypadku, kiedy matką kontraktową jest nie obca kobieta, lecz członek rodziny – zwłaszcza, kiedy matka rodzi dziecko własnej córce. Czy babcia może być matką własnej wnuczki? Trudno znaleźć odpowiedź na to rozbijające tradycyjne struktury myślenia pytanie. Zwłaszcza, że ten przypadek przeczy samej istocie rodziny, która ma – wedle Freuda i Lévi-Straussa przynajmniej – chronić przed kazirodztwem.

Nie tylko nowe techniki medyczne stanowią wyzwanie dla modelu rodziny. Tradycyjna hierarchia rodzinna załamuje się na przykład przez precedensy rozwodów rodziców z dziećmi. Dzieciom przysnaje się prawo do rozwodów

– na wzór rozwodów małżeńskich. Obok rodziców biologicznych wprowadza się też kategorię rodziców psychologicznych, którzy pełnią rolę opiekunów.

Skutkiem słabnącego statusu rodziny są coraz intensywniejsze próby jej regulacji prawnej, czyli ingerencja instytucji w sferę dotąd uznaną za prywatną. To jeszcze bardziej odsuwa na dalszy plan biologiczne kryteria rodzicielstwa wprowadzając inne: miłość, zdolność do opieki i materialnego utrzymania, to czy człowiek „zasługuje” na miano rodzica itp. Ową prawną interwencję też przyjmuje się wielorako. Nie tylko jako działanie opresywne. Feministki podkreślają często jej wyzwalające działanie dla kobiet, dla których zamknięta sfera życia rodzinnego nie jest domeną wolności, lecz wyzysku.

Kolejnym źródłem zamętu jest kwestia nadużyć względem dzieci – tak zwana „child abuse”. Bardzo wieloznaczna – począwszy od definicji owego nadużycia. Zdarzają się bowiem sytuacje, w których trudno określić granice między miłością i krzywdą, między zachowaniem czułym i lubieżnym, między karaniem dla dobra i z zemsty. Do tego trzeba dodać, że język „child abuse” staje się rozpowszechniony na tyle, że łatwo tu o nadużycia.

Do specyfiki amerykańskich kłopotów z rodziną należy to, że podważa się ją na różne sposoby i odrzuca się jej wartości, a jednocześnie obsesyjnie się do niej tęskni. Do stabilizującej, opiekuńczej „szczęśliwej rodziny” z idealizowanych lat pięćdziesiątych: atomowej, heteroseksualnej, z dziećmi, trwałej. Z ojcem zarabiającym na życie, matką zajmującą się domem i posłusznymi, dobrze ułożonymi dziećmi. „Amerykańska rodzina to fantazja na temat rodziny” – piszą autorki. Ten nierealny model próbuje się na różne sposoby rekonstruować. Tworzą się rodzinopodobne grupy – o podobnych strukturalnych i emocjonalnych związkach. Na takich zasadach usiłują się wiązać rodziny homoseksualne. Nowe postacie wchodzą w stare role. W literaturze, filmie, sztuce, nawet w reklamie ten neotradycjonalizm rodzinny rzuca się w oczy.

Ruch feministyczny doprowadził do zakwestionowania patriarchalnego modelu rodziny, zrównania ról mężczyzny i kobiety, a praktycznie do pewnej kobiecej dominacji. W odpowiedzi nań pojawił się nurt męskiej ideologii, która ma między innymi przywrócić moralną stabilność rodziny. Jest to w zasadzie odwrotność feminizmu, ale z pewnymi jego elementami. Uwydatnia się tu „kobiece” jakby walory mężczyzn: zdolność do odpowiedzialnego ojcostwa, do nawiązywania intymnych więzi, wrażliwość. Mówi się o „męskim macierzyństwie”. Podkreśla się emocjonalną, a nawet cielesną kobiecość mężczyzn. W euforycznym zapędzie wywyższa się męskie zalety (ojciec ma doskonalsze „psychiczne łono”, na którym może nosić swoje dziecko!)

Tak wyglądają próbki rozmaitych języków, którymi prowadzi się, bardzo emocjonalny w gruncie rzeczy, spór o rodzinę i którymi próbuje się ją tworzyć. Autorki są zdania, że narastające wokół niej niepewności nie prowadzą jednak do jej zaniku. „Pęknięcia i rozłamy w moralności rodziny, jej brak równowagi,

to mechanizmy, za których pomocą kultura stale negocjuje rodzinne wartości”. Mówi się o kryzysie rodziny, ale rodzina jest z natury instytucją płynną, podatną na zmiany społeczne, ekonomiczne i polityczne.

Zmieniły się relacje wewnątrzrodzinne – nie ma hierarchii, kładzie się nacisk na spełnienie jednostki. Stracił na znaczeniu patriarchalny model rodziny. Prywatna moralność rodziny stała się moralnością publiczną. Zmiany te trudno uznać za złe. Wymusiły je różnorakie warunki. Miały one charakter pragmatyczny. Trzeba było radzić sobie ze skomplikowanym życiem. Domagać się swego. I wykraczać poza zastane etyczne *status quo*.

Książkę *Moralność USA* trudno czytać uważnie. Nawarstwione w niej fakty i opinie składają się obraz szeroko pojętej amerykańskiej moralności. Nie jest to obraz jakkolwiek spójny i autorki wcale nie starają się o to, żeby takim się stał. „Zamieszanie moralne ma wartość, i można w nim i trzeba negocjować, nie po to, by stworzyć nowy uniwersalny porządek moralny. Tymczasowe, lokalne wynegocjowane rozstrzygnięcia i zaangażowany, dostrzegający historyczne i społeczne warunki pragmatyzm bardziej odpowiada różnym społecznościom i skonfliktowanym stronom amerykańskiej kultury niż ogólne rozwiązania i dogmaty. Naród twórczo zaangażowany w kwestie moralne nie musi mieć jednego prostego dekalogu. Moralność może iść w parze ze złożonością”. Takie jest przesłanie książki. Ma więc ona charakter – by tak rzec – perswazyjny. Jest spokojna w tonie, pozbawiona obaw, hysterii, emocji. Ma oswajając z pluralizmem. Czy skutecznie – trudno powiedzieć. Jest przecież tylko jednym z wielu głosów.

Edyta Kubikowska